CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 136 13 LISTOPADA 1975 R. CENA 1,50 ZŁ

Kto chce zostać rybakiem, ten ma jeszcze szansę!

TEORII UCZĄ SIĘ W GIŻYCKU, a praktyki odbywają NA MAZURSKIM JEZIORZE DEJGUNY

Od szesnastu lat Zasadnicza Szkoła Rybacka w Giżycku kształci rybaków dla potrzeb gospodarki śródlądowej i morskiej. Mury szkoły opuściło już kilkuset absolwentów. Wiedzę teoretyczną zdobywa się w dobrze wyposażonych gabinetach, a praktyki odbywa na jeziorze Dejguny koło Giżycka. Na miejscu jest internat. Warunki idealne, a mimo to kandydatów coraz mniej. Warto więc zainteresować się tą szkołą. Zawód rybaka nie należy do łatwych, ale jest finansowo bardzo opłacalny. Na zdjęciu: zajęcia z hodowli ryb prowadzone przez Józefa Łukaszewicza.

Zdjęcie: **CAF-Moroz**

Niezwykłe odkrycie prof. Tiwari w jaskiniach stanu Aadhja Pradesz

NAJPIĘKNIEJSZE MALOWIDŁA z czasów najdawniejszych

DELHI (PAP). Indyjski naukowiec, prof. **Shanker Tiwari** oznajmił niedawno o odkryciu w jednej z jaskiń w stanie Aadhja Pradesz dwukolorowych malowideł ściennych, które — jego zdaniem — są największymi i najpiękniejszymi malowidłami z czasów prehistorycznych.

Na podstawie podobnych malowideł, znajdujących się w jaskiniach w pobliżu miejscowości Bhopal, Kharwai, Raisen, Narwar, Chiklod i Bhimbetka oparł on swoją teorię, zgodnie z którą w centralnej części Półwyspu Indyjskiego istniała jedna z najwcześniejszych kultur świata. **(bis)**

Harcówka w lesie

MIELEC (HSI). W jesiennym deszczu i mgle 50 chłopców i dziewcząt uczestniczyło w I zlazie harcerskim na ziemi rzeszowskiej. Zmęczeni i zziębnięci harcerze ze Szczepu „Komputery", działającego przy zespole Szkół Technicznych w Mielcu, mieli jednak perspektywę wspaniałego odpoczynku. W okolicznych lasach znaleźli opuszczaną, starą leśniczówkę. Postanowiono zaadaptować ją na harcówkę. Władze leśne zgodziły się i w ten sposób „Komputery" są właścicielami wspaniałego pomieszczenia, w którym przy wesoło trzaskającym ogniu spotykają się, rozmawiając o swych harcerskich problemach.

Nina Opic

30 lat na scenach krajowych i zagranicznych

Uroczystym koncertem zainaugurował CZA ZHP SWÓJ JUBILEUSZ

Znany jest od 1946 r. pod nazwą Zespół Skoraczewskiego — od nazwiska założyciela i obecnego dyrektora — artysty Teatru Wielkiego w Warszawie. W jego skład wchodzi obecnie Harcerski Chór Dziecięcy, Harcerski Chór Mieszany i Harcerska Orkiestra Symfoniczna, a tworzą go dzieci i młodzież w wieku od 6 do 20 lat.

Podziw budzi bogaty repertuar zespołu: muzyka dawna, barokowa, romantyczna, współczesna muzyka symfoniczna, operowa, kantatowo-oratoryjna, piosenki młodzieżowe i muzyka ludowa.

Od początku swego istnienia CZA ZHP ściśle współpracuje z Teatrem Wielkim i Filharmonią Narodową w Warszawie, a prócz tego daje samodzielne koncerty w kraju i poza jego granicami. Na scenie operowej młodzi artyści w harcerskich mundurach występowali ponad 800 razy, a w sumie dali 2000 koncertów. „Świat Młodych" życzy zespołowi owocnej działalności i dalszych sukcesów. **(eb)**

Ten sympatyczny, uśmiechnięty, śniegowy bałwanek, to maskotka najbliższych Zimowych Igrzysk Olimpijskich, które będą się rozgrywać w Innsbrucku w 1976 roku.

Zdjęcie - **CAF**

NA PODLASIU KUKUŁKI KUKAJĄ

Z muzyką, śpiewem i trzaskaniem batów zajeżdża pan młody na Podlasiu pod dom panny młodej. Jak wesele, to wesele! Nie tak łatwo jest jednak wyrwać dziewczynę z domu rodzinnego. „Rajek", czyli swat, wyprowadza na jego spotkanie stare, szpetne baby. — „Wybieraj sobie dziewuchę!" Nie pomagają żarty, przekomarzanie się i wołanie dziewczyny. „Rajek" jest nieubłagany i dopiero złożenie darów „matuli i tatulowi" panny młodej uwalnia tę prawdziwą. Rozpoczyna się huczne wesele.

★

Jak w kalejdoskopie przesuwają się na scenie obrazy z życia dawnej wsi i tańce, od których drżą ściany. Wzruszają rzewne śpiewki o Kasieńce i Jasieńku, o niedobrej córce, salwy śmiechu budzą zjadliwe przyśpiewki pyskatej dziewczyny i broniącego się przed nimi chłopaka.

DALSZY CIĄG NA STR. 6

Dziś przedstawiamy:

SURINAM

Jest to Gujana Holenderska leżąca w północno-wschodniej części kontynentu południowoamerykańskiego. Pod panowanie holenderskie dostał się Surinam w 1667 r. w wyniku traktatu pokojowego zawartego w Bredzie pomiędzy Holandią a rywalizującą z nią o te ziemie W. Brytanią. Po drugiej wojnie światowej Holandia nadała mu większą samodzielność, a od 1954 r. terytorium to jest autonomiczną częścią Królestwa Holandii, z wyjątkiem spraw zagranicznych i obronnych. Dziś Surinam, jako jeden z ostatnich w tym rejonie świata, oczekuje niepodległości, którą ma otrzymać pod koniec bieżącego miesiąca.

Gujana Holenderska jest prawie pięć razy większa niż Holandia, ale zamieszkuje ją 400 tys. ludzi, co stanowi mniej niż połowę mieszkańców Amsterdamu. Mimo to istnieje tu poważny problem z otrzymaniem pracy. Dane z 1971 r. mówią, że na 100 tys. pracujących Surinamczyków — 15 tys. jest bez zatrudnienia. Rolnictwo jest do dziś zacofane. Użytki rolne obejmują zaledwie 1 proc. powierzchni kraju. Podstawą gospodarki jest zapoczątkowane w 1916 r., wydobycie boksytów, surowca potrzebnego do produkcji aluminium. W dziedzinie wydobycia tego minerału, Surinam zajmuje trzecie miejsce w świecie kapitalistycznym, Prowadzi się również eksploatację drewna (w 80 proc. kraj zajmuje dżungla). Z tych bogactw naturalnych Surinam niewielki ma pożytek. Zyski czerpią przeważnie amerykańskie i holenderskie towarzystwa i firmy.

Ok. 80 tys. Surinamczyków wyemigrowało do Holandii w nadziei na zdobycie pracy i poprawę warunków bytowych. Jednak i tu nie ma dla wszystkich zajęcia. Poza tym tak liczna emigracja jest dla maleńkiej przecież Holandii sporym ciężarem. Według niektórych ocen masowy napływ Surinamczyków do królestwa był czynnikiem wpływającym na przyznanie tej kolonii pełnej niepodległości, co autentycznie pozbawi ich obywatelstwa holenderskiego.

Surinam to kraj kontrastów, gdzie współżyją i ścierają się ze sobą bieda i bogactwa, prymityw i nowoczesność. Do codzienności już należy widok Indianina skaczącego przez ogień w ludowym tańcu z radiem tranzystorowym. Surinamczycy sami o sobie mówią, że kraj ich jest całym światem w miniaturze. (ew)

Powierzchnia: 143 tys. km. kw. Ludność: 400 tys. Stolica: Paramaribo. Jednostka monetarna: gulden surinamski.

CZY „ŚWIAT MŁODYCH" BĘDZIE MIAŁ 20 STRON?

Z IGŁY WIDŁY

czyli

RZECZ O PLOTCE

JECHAŁEM tramwajem do redakcji. W trakcie głośnej rozmowy dwóch chłopaków usłyszałem, że od nowego roku „Świat Młodych" będzie miał 20 stron. Byłem zdumiony. Takie zmiany, a ja nic o tym nie wiem? Natychmiast podszedłem do chłopaków.

— Przepraszam, skąd o tym wiecie?

Jeden z nich zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów i z dumą w głosie powiedział:

— Mój wujek pracuje w „Świecie Młodych". Wiem to od niego. Wiadomość jest pewna.

— A jak nazywa się wujek? Widzisz, pracuję w tej redakcji, a o takim projekcie nie słyszałem.

Chłopak zrobił się czerwony jak burak. Nic nie odpowiedział. Korzystając z tego, że tramwaj stał na przystanku, szybko wysiadł. Sprawa jest jasna. To zwykła plotka, którą udało mi się zdemaskować.

JAK CIASTO NA DROŻDŻACH

Gdybym nie zapytał rezolutnego chłopaka, skąd wie o tej rewelacji i tym sposobem nie przyłapał go na kłamstwie, to w niedługim czasie bardzo wielu ludzi już by wiedziało. Jedni, że „Świat Młodych" będzie miał 30 stron, inni, że 50, jeszcze inni, że na pewno zmieni się format gazety.

Plotka bowiem szybko się rozprzestrzenia i rośnie. Do usłyszanej wiadomości każdy dodaje coś od siebie i z niewielkiej plotki powstaje plotka-monstrum.

Niektórzy uwielbiają plotkować. O wszystkim. Najbardziej jednak o swoich znajomych. Ktoś gdzieś coś o kimś usłyszy i uruchamia ogromną machinę: temu szepnie słówko, drugiemu w tajemnicy powie coś rewelacyjnego, z ostatniej chwili, o czym nikt jeszcze nie wie. Są to wiadomości nie sprawdzone, niepewne, a często po prostu wyssane z palca. **Bo plotka musi być sensacyjna, oburzająca, poruszająca wszystkich, którzy będą jej słuchać.** Inaczej nie miałaby żadnych szans, aby znaleźć chętnych do nadstawiania ucha. **Te bulwersujące wiadomości tak ekscytują ludzi, że najczęściej zapominają oni o zdrowym rozsądku. I bzdura idzie w świat.**

DLACZEGO PLOTKUJĄ?

Są tacy, którzy lubią wzbudzać podziw, uznanie, zainteresowanie innych. Bardzo łatwo można to osiągnąć, mając w zanadrzu „bombową informację". Sposób jest tani, ale skuteczny. Żeby wiadomości wyglądały na prawdziwe, plotkarz zaklina się, że „sam widziałem, słyszałem, wiem z wiarygodnego źródła". A prawda wygląda tak, że albo sam to wymyślił, albo tak umiejętnie podkoloryzował banalny fakt, że może teraz — mówiąc o nim — wywołać sensację i podziw otoczenia.

Plotkę bardzo często „uruchamiają" ci, którzy chcą rozładować własne niepokoje, lęki, obawy. Jeżeli Agata bardzo ubolewa nad tym, że nie jest tak atrakcyjna jak inne dziewczyny, to masę czasu poświęca na pielęgnację urody. A — jeśli jest złośliwa — może także puszczać plotki. I gdy przyjdzie do klasy nowa, młoda, ładna nauczycielka, Agata szepnie w zaufaniu swojej przyjaciółce: „Ta pani jest stara, ma już dobrze po trzydziestce, a tak młodo wygląda, bo poddała się operacji plastycznej". Oczywiście po dwóch dniach prawie wszystkie dziewczyny będą już pewne, że nauczycielka ma 45 lat i była na trzech operacjach plastycznych w Szwajcarii. I w ten sposób Agata osiągnęła swój cel — nauczycielka nie jest już przedmiotem podziwu innych dziewczyn.

Dla zawistnych, którzy nie cierpią, żeby ktoś był lepszy od nich, plotka jest bardzo groźną bronią. Bo czyż można znaleźć łatwiejszy sposób, żeby kogoś ośmieszyć i poniżyć? A w dodatku „mieszać z błotem" każdego, samemu się nie narażając. Przecież plotkarz nie mówi niczego prosto w oczy lecz najczęściej na ucho. „Nadawca" zostaje w cieniu i może z zadowoleniem obserwować skutki swojej intrygi. I taki sposób załatwiania swoich, często wyimaginowanych porachunków wybierają ci, którzy nie narzekają na nadmiar cywilnej odwagi. Nawet w redakcyjnej poczcie zdarzają się listy plotkarzy i intrygantów. Podają taki imię, nazwisko i dokładny adres kolegi, którego wg niego trzeba napiętnować w gazecie, a sam podpisuje się: „stały czytelnik".

POTAKIWACZE

Jeżeli wiadomo, że plotka szeptana z ucha do ucha zawiera wiadomości niepewne lub fałszywe, to dlaczego ludzie wierzą i przekazują innym takie bajeczki? Nie wszyscy tak postępują. **Szczególnie podatni na plotkę są ci, którzy odznaczają się brakiem krytycyzmu, nie lubią myśleć, nie mają nigdy własnego zdania.** Bo przecież bardzo często widzą wiele faktów, które obalają plotkę. Oni wolą jednak na to nie zwracać uwagi. Dlaczego? Bo wtedy trzeba przeciwstawić się innym, powiedzieć, że mówią bzdury, po usłyszeniu plotki-nonsensu zaśmiać się i odwrócić na pięcie. Nie każdego na to stać. Łatwiej przecież być konformistą i przyjmować wszystko z potakiwaniem.

Z tego wynika jasny wniosek. **Racjonalne myślenie, pozbawione emocji i niezdrowej ekscytacji, może bardzo łatwo rozszyfrować plotkę, obalić ją, wykazać jej fałszywość.** Ci, którzy chcą znać prawdę, mają jeszcze inny sposób: zdobywają osobiście rzetelne informacje i konfrontują je z plotką. A informacje można uzyskać od osoby, której plotka dotyczy, albo od tych, którzy znają się na oplotkowywanej sprawie i mogą kompetentnie powiedzieć, jak jest naprawdę. W takich sytuacjach sprawdza się dewiza: kto pyta nie błądzi. Ale do tego zdolni są tylko ci, którzy mają otwartą głowę, potrafią i chcą samodzielnie myśleć i mają trochę odwagi.

W jednym z liceów ktoś (nigdy nie wiadomo, kto zaczyna) puścił plotkę, że szkoła ulega likwidacji. Uczniowie domyślali się najróżniejszych przyczyn tej reorganizacji. Niektórzy szukali już sobie miejsca w innych szkołach. Inni stracili nagle zapał do nauki, bo jeśli likwidują szkołę, to chyba postawią wszystkim na świadectwach chociaż trójki. Nauczyciele jakoś nie obniżali swoich wymagań — sypały się dwóje. Wreszcie znalazł się ktoś rozsądny. Poszedł do dyrektora szkoły i zapytał, czy to prawda. Mina dyrektora wystarczyła za odpowiedź. Wszyscy dowiedzieli się, że pogłoski o likwidacji szkoły, to bzdura. Plotce ukręcono łeb! Ale można to przecież było zrobić wcześniej.

SKUTKI MOGĄ BYĆ PRZYKRE

Ta historia to także ostrzeżenie. Plotka może wywołać ogromne szkody. W opisanej sytuacji zdemobilizowała część uczniów. Dostali więcej dwójek, bo z fałszywej wiadomości wyciągnęli fałszywe wnioski. Nastrój niepewności i zdenerwowania nie sprzyjał skupieniu i pracy. Powstawały konflikty wewnątrz klas, często wybuchały kłótnie. W takiej atmosferze, jaka zapanowała w szkole, bardzo łatwo było o spięcia. Nieznany plotkarz, który rozpoczął „aferę", przyczynił się do tego, że szkodę ponieśli nie tylko poszczególni uczniowie, ale i cała szkoła. Wszyscy! Kiedyś było w niej fajnie i nagle wszystko zaczęło się sypać. Po wyjaśnieniu nieporozumienia musiało upłynąć wiele czasu, żeby życie w szkole powróciło do normy.

I właśnie dlatego, żeby ustrzec siebie, klasę, szkołę od takich przykrych następstw, warto podjąć walkę z plotką. I to niezależnie od tego, czy jest to mała plotka o tym, że Witek robi w domu na drutach, czy większa, że dyrektor nie lubi pani od polskiego i dlatego w jej klasie stawia więcej dwój. **Bo szkodę i przykrość może wywołać każda plotka!** A walka, chociaż trudna, jest możliwa. Szczególnie jeśli zacząć od tych, którzy uwielbiają przynosić i donosić coraz to nowe, podejrzanie rewelacyjne wiadomości.

KAZIMIERZ PASEK

Lubię harcerzy — nie lubię być frajerem

Na terenie jednego z osiedli warszawskich już na długo przed Świętem Zmarłych pojawiły się plakaty informujące, iż dnia 31 października, w piątek, w szkole podstawowej, harcerze organizują sprzedaż zniczy, świeczek i nagrobkowych lampek.

Wszystko to można było co prawda wcześniej kupić w zwykłym sklepie na rogu, lub też — w mniejszym zapewne wyborze — w kiosku „Ruchu", ale wiele osób postanowiło odwiedzić szkołę kierując się zwykłą sympatią dla harcerzy.

„Niech sobie zarobią na obóz! A może zbierają na motorówkę?..." Wielu też przyszło, bo w pamięci utkwiły im plakaty. Hasło „reklama jest dźwignią handlu" całkowicie zdało więc swój egzamin. Sporą jednak część kupujących stanowili po prostu ci, którzy potrzebnych im na święto „światełek" nie dostali gdzie indziej, bo ich już nie było. Skorzystali zwyczajnie z okazji.

Jak jednak by nie były różnorodne powody, które skłoniły tych ludzi do odwiedzenia harcerskiego kramiku — wspólne było zdziwienie i zaskoczenie gdy przyszło im płacić. Cena lampek, które parę dni wcześniej w kiosku kosztowały 3 złote, tu — wynosiła 5 złotych! Znicze o wartości 20 złotych sprzedawano za 35 złotych.

„Czyżby »chałupnicza produkcja« harcerskich drużyn była aż tak droga?" — zastanawiali się co poniektórzy plując sobie w brodę, że nie dokonali zakupów gdzie indziej.

Tajemnica produkcji wyjaśniła się gdy na jednym ze zniczy znaleziono szczątki firmowej nalepki, pewnej podwarszawskiej spółdzielni inwalidów. I stałą cenę. Tę dużo niższą.

Zbieranie pieniędzy na biwak jest czynnością ze wszech miar godną pochwały. Również nic zdrożnego nie zawiera sprzedaż produktów własnych głów i rąk. Kolizja, nie tylko z naszym poczuciem uczciwości, ale wręcz z prawem zaczęła się wtedy, gdy postanowiono pójść na łatwiznę. „Po cóż się wysilać skoro parę tygodni wcześniej można się wspólnie złożyć, zakupić w sklepie kilkadziesiąt zniczy i świec, a następnie po odpowiednio wyższej cenie je sprzedać. Proste to, a zarobić można dużo!" Taki sposób przeprowadzania operacji handlowych nazywa się w języku prawniczym — spekulacją. Spekulacja zaś jest zwyczajnym przestępstwem i jako taka określona jest paragrafami naszego kodeksu karnego.

Niedawno w tym samym miejscu, w felietonie pt. „Antek Cwaniak do lamusa" pisaliśmy o takich, co to zawsze na swoje wyjdą. Nie zawsze uczciwie, nie zawsze legalnie, ale... Dzisiaj opisywana jest sytuacja podobna. Chociaż... czy naprawdę „pomysłowi" handlowcy wyszli na swoje?! Finansowo — tak! W końcu sprzedali te lampki, ludzie musieli je kupić, bo gdzie indziej już nie było. Ale co się przy tym nagadali, napsioczyli na tę harcerską pomysłowość... Czy to można tak z ręką na sercu nazwać zyskiem?!

I jeszcze jedno.

Czy gdyby równie „pomysłowy" zastęp wykupił w Waszym osiedlu, dzielnicy, czy wiosce z kiosku „Ruchu" — wszystkie dostarczane egzemplarze „Świata Młodych" i w ramach dobroczynnej akcji świadczenia usług dla młodzieży sprzedawał każdy egzemplarz po 3 złote, też uznalibyście to za znakomity sposób zebrania funduszy na wycieczkę w góry?!

Bo ja nie. Czy to znaczy, że jestem takie „skąpiradło" co to harcerzom pomóc nie chce?! Nieprawda, nie lubię być tylko „robiony na frajera"!

WŁODZIMIERZ SŁOWIŃSKI

Janusz Wolniewicz pisze z Małych Wysp Sundajskich:

WYSPA BOGÓW i DEMONÓW

INDONEZJA składa się z około 14 tysięcy wysp, z czego prawie połowa jest nie zamieszkana. Trzydzieści archipelagów nanizanych na równik, niczym szmaragdowa kolia długości pięciu tysięcy kilometrów. Gdyby więc wszystkie te wyspy nałożyć na mapę Europy, sięgnęłyby one od Morza Kaspijskiego po Irlandię, przy czym jeszcze połowa Sumatry wystawałaby na Atlantyk.

Jednym z mniejszych archipelagów tego rozległego państwa są Małe Wyspy Sundajskie, które sami Indonezyjczycy uznają za prowincjonalne rubieże indonezyjskiej galaktyki. Nasa Tenggara Timur, czyli po polsku „południowo-wschodnie wyspy", składają się z 3 większych i ze 111 mniejszych wysepek. Obszar ten nigdy nie był w całości opanowany przez Holendrów, a i dzisiaj rząd indonezyjski dopiero zaczyna myśleć o pełnej integracji tych dalekich kresów państwa.

Trzy wielkie wyspy

...to Flores, Sumba i Timor (którego północno-wschodnia część nie należy do Indonezji), ale najsłynniejsza jest oczywiście Bali, reklamowana przez wszystkie biura turystyczne świata jako „okruch raju", „klejnot tropików" czy „wyspa bogów i demonów". Nie jest wielka, zajmuje obszar równający się z grubsza połowie dawnego województwa gdańskiego i dla Europejczyka stanowi istne rzeczy pomieszanie...

Prości ludzie i wyrafinowana wszechobecna sztuka. Tysiące świątyń i kilkanaście mniej lub więcej gniewnych wulkanów. Luksusowe hotele i zgarbione na ryżowych polach plecy wieśniaków. Wioski pokryte strzechami za glinianymi murkami i barwne procesje na asfaltowanych szosach, którym przyglądają się niedomyci hippisi z Australii. Cudowna plaża Kuta i zakurzone ulice stołecznego Denpasar. Oddzielny, niepowtarzalny mikrokosmos.

Przetoczyły się wieki nad generacjami pracowitego ludu wyspiarzy. Krzyżowały się wpływy religijne, obyczajowe, przenikała obca sztuka, architektura. W ciągu dziesiątków wieków wykrystalizowały się wreszcie wierzenia, które oficjalnie określono względnie niedawno jako hinduizm balijski. Ten koktajl obyczajowo-religijny istnieje wyłącznie na Bali i jest mieszaniną hinduizmu, kultu przodków i animizmu. Dominuje w niej odwieczna walka Dobrego ze Złem, przy czym dwie te siły, zdaniem Balijczyków, są jednakowo potężne. Zadaniem mieszkańców Bali jest jednak stała dbałość o remis w tym niekończącym się „meczu" obu drużyn. Trzeba więc stale uśmiercać ofiarami gniew demonów, i w podobny sposób zyskiwać przychylność przeciwnej drużyny. Balijczycy stosują w swojej działalności nie tylko ofiary materialne. Zmiękczają oni przedstawicieli Dobra i Zła także tańcem, muzyką, przedstawieniami teatralnymi; stąd mówi się powszechnie, że mają sztukę we krwi. Tak chyba jest naprawdę.

Chyżo pędzi mój wynajęty motorower, tym razem do wioski na tańce. Wioska jest zwykła, jak tysiące innych, ale lepszej oprawy dla mającego się w niej odbyć przedstawienia nie wymyśliłby zawodowy scenograf. U wejścia na zaimprowizowaną widownię przekracza się jedną ze słynnych balijskich **tjandi bentar** — nader efektowną budowlę. Stanowi ją coś w rodzaju rozkrojonej wieży — z czerwonej cegły przybranej wyrazistymi maskami z białego piaskowca.

Słodko brzmi gamelan

Legong — zgodnie z podaniem taniec nimf zesłanych z niebios. Trzy małe postacie dziewcząt spowitych w połyskliwą materię brokatu wykonują pantomimę. Nie orientuję się dobrze o co chodzi, nie znam eposu, który opowiadają swoimi ruchami dziewczęta. Wiem jedno — odbywa się ten cały taniec w doskonałej harmonii. Może to poemat o miękkości obłoku lub o szmerze motylich skrzydeł?

Zntkają nimfy. Gamelan brzmi teraz ostrzej. Siedzący na ziemi członkowie orkiestry energicznie pracują pałeczkami. Mocniej, jeszcze mocniej! Na estradę wpada tłum półnagich mężczyzn. Siadają. Ponad stu artystów zaczyna **ketjak,** zwany w uproszczeniu tańcem małp. W świetle pochodni połyskują spocone torsy. Doskonała synchronizacja ruchów. Skłony, magia rąk. Ostro, jak podcięcie bata, zrywa się co pewien czas: CIAK! CIAK! — rytmiczny, rwany okrzyk, który będzie powtarzał się aż do finału. Las rąk, skłony. Ciak! Ciak! Ciak! — potężnieje głos. Chwieją się ręce, cały krąg. Przypomina to żarłoczny morski anemon, to znów czerwoną linię wodną. Ciak! Ciak! Co pewien czas zjawiają się w środku pulsującego kręgu kolorowe widma. Wdzięczne sylwetki kobiet. Maski demonów.

Jestem zafascynowany drgającą masą brunatnych ciał. Znowu jakiś demon! Zwielokrotniony syk, pewnie mitycznego węża. Ciak! Ciak! Ciak! — bucha w rozgwieżdżone niebo. Zapamiętują się tancerze. Nie sądziłem nigdy, że taką ekspresję może uzyskać siedzący balet. Uff, skończyli. Zrywa się burza braw. Patrzę na sąsiadów. Wszyscy jesteśmy podekscytowani.

Skończyło się przedstawienie. W drodze na kwaterę spotykam przydrożny kiosk z owocami. Oprócz znanych mi już mango, granatów, papya próbuję całkiem mi obce... **Rambutan** — z wyglądu mocno owłosiony kasztan, **zurzak** — owoc niesłychanie soczysty oraz **mangostiny,** przypominające zeschłą pomarańczę, a zawierające wewnątrz coś w rodzaju śnieżnobiałej mandarynki. Smaku tych wszystkich delikatesów nie jestem w stanie nawet w przybliżeniu opisać, po prostu nie istnieją porównania z czymkolwiek znanym europejskiemu podniebieniu.

Ostatnim mocnym akcentem kolacji był osławiony **durian,** przypominający z wyglądu rybę najeżkę, a zawierający w środku miąższ o konsystencji masła czy budyniu. Owoc był rzeczywiście smaczny, jakkolwiek jego zapach sprawia wrażenie, że zjada się ambrozję w mocno zaniedbanej toalecie. Silny, odczuwany przede wszystkim przez otoczenie spożywającego odór tego specjału sprawia, że pasażerów nadzianych durianem nie wpuszcza się na ogół ani do publicznych środków lokomocji, ani do eleganckiego hotelu czy restauracji. Tym razem było mi wszystko jedno. Nie wybierałem się na bal, a jedynie do twardego łoża w tanim hoteliku.

Zdjęcie autora

MOŻNA TU POBAWIĆ SIĘ Z NIEDŹWIEDZIEM, OBEJRZEĆ WYSTĘPY TRESOWANYCH DELFINÓW, SPOTKAĆ SIĘ OKO W OKO Z LWEM

KILKADZIESIĄT kilometrów od Sztokholmu jest olbrzymi teren, na którym żyje 1500 zwierząt! Ten gigantyczny ogród zoologiczny, położony na skrawku wybrzeża, zwanym Kolmardern, zaczął swą działalność w 1965 roku, liczy więc już sobie dziesięć lat. Skromne były początki — zaledwie 210 okazów fauny. Teraz rozrosły się w jeden z największych i najbogatszych tego rodzaju obiektów w świecie.

Aby zwiedzający mogli choć w części poznać piękno i bogactwo terenu — także pod względem widokowym — pierwszy spacer po Kolmardern odbywa się kolejką linową. Jej trasa biegnie nad całym ogrodem, a kończy się przy Delfinarium — teatrze lub raczej cyrku, którego jedynymi aktorami są delfiny.

Jednak najbardziej przyciąga udostępnione dwa lata temu safari. Z terenu ogrodu wydzielono duży kawał lasu, po którym poruszać się można jedynie w szczelnie zamkniętych samochodach. Widoki są fascynujące! Oto baraszkują na środku drogi małe misie, oto małpki wskakują na maskę lub dach samochodu i zaglądają ciekawie do środka. Dalej lwica leniwie krąży wśród drzew, a w pobliżu śpi jej dostojny lew-małżonek.

Wielką frajdą dla najmłodszych entuzjastów ogrodu jest też zagroda, w której można zaprzyjaźnić się z małymi kozami islandzkimi (na zdjęciu), pogłaskać osiołka, a nawet pobawić się z uroczymi, prześmiesznymi brunatnymi misiowymi maluchami. **(mh)**

Zdjęcia: **archiwum**

REDAKCYJNA POCZTA

„Lefego" — głowa do góry!

Po przeczytaniu listu „Lefegi" (120 nr SM, pt. „Chłopaki i plotki") głęboko się zastanowiłam. Ten chłopak, o którym pisała „Lefega", nie zasługiwał na szczerość i uczucie. Ale dlaczego tak zrobił? Dlaczego rozpaplał wszystkie tajemnice swojej dziewczyny? Chciał komuś zaimponować? A może chciał zrobić jej na złość? Nie mam pojęcia, ale uważam, że postąpił jak zwykły smarkacz, którego nikt nie powinien darzyć sympatią. Niech wie, że nikomu nie zaimponował! Straci tylko zaufanie. Na pewno wcześniej czy później to odczuje. Każdy, kto go już poznał, będzie ostrożny w wyjawianiu mu własnych sekretów i tajemnic. Nie mogę także zrozumieć, dlaczego dziewczyna „wytykana jest palcami", dlaczego wszyscy się z niej śmieją? Pomyślcie! Przecież to ktoś zupełnie inny godny jest politowania. Głowa do góry, „Lefego". Trzymaj się!

Justyna Zuń

Do tego, który puszcza plotki

List „Lefegi" bardzo mnie oburzył. Ten chłopak postąpił jak... Przepraszam. Tu cisną mi się tylko nietaktowne epitety. Czy po „zerwaniu" wszystkie miłe wspomnienia i zwierzenia nie mogły pozostać między chłopakiem a dziewczyną i tylko między nimi? Jeżeli Ty, który zerwałeś z „Lefegą", czytasz ten list, to się dowiedz, że powinieneś dochować tajemnicy. Tak nakazuje zwykła przyzwoitość. Ośmieszyłeś siebie i ją. A gdyby ona w drodze rewanżu wydała Twoje sekrety? Jak byś się czuł? Czy jesteś pewny, że te dziewczęta nie śmiałyby się z Ciebie? A Ty, „Lefego", nie rozpaczaj. Pamiętaj, że plotki poniżają tego, kto je roznosi! A na drugi raz nie ujawniaj każdemu wszystkich swoich sekretów!

Andrzej — Oświęcim

Od redakcji: Dla „Lefegi" mamy kilka listów. Napisz do nas i podaj adres. Prześlemy Ci tę korespondencję.

Jan Wesołowski, 16 lat, Bogusławice, 62-620 Babiak Konin, chce znaleźć przyjaciół. Interesuje się sportem.

W obronie chłopaków

Wbrew pozorom nie będzie to „superprotestsong", ale zwykła polemika z poglądami Beaty z Warszawy (122 SM, „Dziewczyny, uwaga na chłopaków"). Ostro potępia ona chłopców, że oglądają się za dziewczynami i chcą „chodzić" tylko z atrakcyjnymi i bardzo modnie ubranymi. Nie przeczę, że są tacy chłopcy, ale przecież to wyjątki! A zresztą to dziewczyny są sobie same winne. Potrafią tylko plotkować: „ten jest śmieszny, tamten zaprosił mnie do kawiarni, ten jakiś taki dziwny" itd. Oczywiście nie wszystkie są takie, ale na dziewczyny trzeba uważać, żeby nie dać zrobić z siebie „balona"! Chłopaki! Szukajcie fajnych dziewczyn, naprawdę wartościowych, a uniknięcie zbędnych przykrości z powodu „kosza".

Inter, Warszawa

Od redakcji: Listów w tym tonie otrzymaliśmy więcej. Rzecz charakterystyczna — pisali je przede wszystkim chłopcy. Tylko dwie dziewczyny (jeden list zamieszczamy) zgodziły się z Beatą. Dlaczego tak mało? Czyżby to była dla Was — drogie Czytelniczki — sprawa tak oczywista? Czy uważacie, że naprawdę chłopcy są tacy jak ich opisała Beata?

POLSKIE DEMONY SZYBKOŚCI

Fotoreportaż
Michała Żbikowskiego

SPORT samochodowy swoją popularnością nie ustępuje wiele piłce nożnej, hokejowi czy kolarstwu. Na słynne tory wyścigowe przychodzi po kilka tysięcy ludzi, by śledzić walkę mknących z zawrotną szybkością samochodowych cacek, których rozwiązania techniczne owiane są całkowitą tajemnicą. Rajdy samochodowe, choć są imprezami mniej widowiskowymi, cieszą się też dużą popularnością.

Zresztą, który z młodych ludzi przejdzie obojętnie obok lśniącego, kolorowego, wyklejonego od błotników po dach reklamówkami, z potężnym ogumieniem i reflektorami, nie mówiąc już o wnętrzu, rajdowego auta?

W naszym kraju kibiców sportu samochodowego jest wielu. Mamy też sporą grupę uzdolnionych kierowców, zarówno rajdowych, jak i wyścigowych. Lecz cóż z tego, skoro na palcach jednej ręki można policzyć imprezy, gdzie widz mógłby śledzić przebieg walki od startu aż do mety.

Faktem jest, że na brak rajdów i terenów rajdowych nie możemy narzekać. Przecież nawet słynny rajd Monte Carlo rozpoczyna się w Warszawie. Lecz przebieg samej walki nie jest dostępny dla widza. Długa trasa, zamknięte odcinki specjalne i przemykające z zawrotną szybkością auta cieszą oko na ułamek sekundy.

Co innego samochodowe wyścigi na zamkniętej trasie! No tak, lecz gdzie znaleźć takie trasy? Rokrocznie rozgrywane Wyścigowe Mistrzostwa Polski odbywają się dzięki przychylności władz aeroklubów: toruńskiego, poznańskiego i olsztyńskiego oraz Zarządu Dróg w Szczecinie. Co roku wyłania się ten sam problem wyścigowego toru. Autostrada pod Szczecinem i lotnisko w Toruniu, Poznaniu i Ornecie zastępuje go tylko częściowo.

Nasi zawodnicy startujący w Formule C-9, czyli „Ester" jeżdżą każdy na innym samochodzie. Nie ma dwóch identycznych. Wszystko w ich wehikułach, od skrzyń biegów po karoserię, jest kombinowane własnym przemysłem, ze starych Dacii, Wartburgów i Fiatów. Wciąż nie ma patrona, który by pomógł — dofinansował. A zdolnych konstruktorów nam nie brakuje. Najlepiej zresztą świadczy o tym fakt, że **Maciej Bogusławski,** który skonstruował własny wehikuł, z powodzeniem rywalizuje z takim samochodem jak Porsche Carera. Kierowców też mamy zdolnych. **Jerzy Landzberg** startując na malutkim, żartobliwie zwanym „pchłą" Renault 5LS zdobył tytuł wyścigowego mistrza Polski wszech klas na rok 1975.

Niestety, wszystko to dobre jest na naszym podwórku. Nasi zawodnicy nie mają najmniejszych szans w rywalizacji z czeską Skodą i radzieckim Żiguli, które prezentują się okazale nie tylko dla oka, ale i podczas walki.

Naszym zawodnikom śnią się więc słynne wyścigowe stajnie Hevland, Colotti, Marlboro. Zaś kibicom śni się polska — „Monza".

A gdyby tak samorodny talent **Macieja Bogusławskiego** oraz zdolności **Jerzego Landzberga** odpowiednio połączyć? Może wtedy polscy kierowcy wyścigowi byliby niedoścignionym wzorem dla konkurentów z innych krajów. Wszystko to, jak na razie, pozostaje w sferze marzeń.

P.S. Wszystkim kibicom wyścigów samochodowych dedykujemy fotoreportaż **Michała Żbikowskiego,** który uwiecznił na zdjęciach żółto-czerwone auto **M. Bogusławskiego** i czerwoną „pchłę" **Jerzego Landzberga** oraz ich kolegów podczas imprezy w Ornecie.

DARIUSZ SZPAKOWSKI

Ludzie codziennej przygody

KOCZOWNIK SPOD HUTY ZAWADZKIEJ

– Dlaczego ja? – dziwi się mój rozmówca. – Przecież ja dopiero zaczynam. Tu są bardziej doświadczeni budowlańcy...

JESTEM na najdłuższej chyba polskiej budowie. Centralna Magistrala Kolejowa ciągnie się bowiem na przestrzeni setek kilometrów. Miejscowość Huta Zawadzka. Usypano tu gigantyczny nasyp. Miliony ton ziemi, gliny i żwiru, wydobytych z wykopów. Ciężkie maszyny, umazane jesiennym błotem zgarniają i ładują ziemię na podjeżdżające wciąż ciężarówki. Powstającym dwóm wiaduktom brak jeszcze przęseł. Potężne stalowe elementy czekają na wydźwignięcie ich w górę. A dookoła rozpościerają się pola. Tu i ówdzie stoją niewielkie domki, stanowiące przy wielkiej budowie jakby dekorację z teatru lalek. I tu właśnie skierował mnie z Białej Rawskiej inż. Ryszard Kobrzyński.

Mój rozmówca, **Krzysztof Fausek,** jest bardzo młody. W zeszłym roku ukończył technikum.

– Przez miesiąc szukałem pracy – mówi Krzysztof. – Proponowano mi stanowiska kreślarza, asystenta inżyniera; nie chciałem.

Marzył o wielkiej budowie. Takiej, która spełniłaby jeszcze szkolne plany. Mającej wielki rozmach, dającej poczucie tworzenia czegoś nowego i ważnego tam, gdzie nie było nic. Wędrował więc po różnych instytucjach. Ale niełatwo było znaleźć, ponieważ marzenia z reguły przerastają rzeczywistość. Wreszcie udało się. Ogrom Centralnej Magistrali Kolejowej przewyższał nawet jego wyobrażenia. Po półrocznym stażu trafił tu i został majstrem.

Pierwsze zetknięcie

Najpierw był zaskoczony. W poniedziałek roboty, jak zawsze, sporo. Plany i terminy poganiają. Tymczasem w pracy zjawia się kilku zamiast kilkunastu kierowców. Co się stało, skąd te braki? Gorączkowo organizował zastępstwa, pytał, dlaczego ludzie nie przyszli do pracy, denerwował się, aż zrozumiał feralność pierwszego dnia w tygodniu. Na tej budowie pracują ludzie z całej Polski. Mają domy, rodziny, bliskich. Chcą ich zobaczyć, być z nimi choć parę godzin. Wyjeżdżają w sobotę, wracają w poniedziałek. Zmęczeni podróżą, podrażnieni nową rozłąką, często spóźnieni, bo dojazd daleki.

Rozumiał ich, ale pracę trzeba było wykonać. Umówił się więc, że wszystkie te opóźnienia odrobią. Początkowo nie szło mu łatwo. Młody chłopak i 30 ludzi, z których każdy miał większe doświadczenie na budowie niż on.

– Najpierw lekceważyli mnie i traktowali nieufnie. Chciałem, żeby dowiedzieli się, że rozumiem ich tęsknotę za domem, ale żeby też znali moją sytuację. Plan musiałem wykonać, a tymczasem ludzie mówili: „Co taki smarkacz może zrobić?"

I musiał pokazać, że może. Żądał kategorycznie wykonywania pracy, ale załatwiał też ich sprawy. Wtedy dogadali się.

A było tych spraw niełatwych sporo. Przede wszystkim ciągłe kłopoty z wyżywieniem. W Białej Rawskiej sytuacja jest wręcz tragiczna. Jedna fatalnie zaopatrzona restauracja. O dostawę konserw trzeba było apelować w Skierniewicach.

– Tu jest bardzo ciężka praca, ludzie nie mogą chodzić głodni. A w restauracji jest tylko kurczak i karp. Drogie, a mało kaloryczne.

Problem wyżywienia przewija się we wszystkich rozmowach, obok sprawy najważniejszej – budowy. Tematyka codziennej krzątaniny wokół maszyn, walki z wodą zalewającą wykopy, kłopotów z błotem i gliną wysuwa się na pierwszy plan.

– Może pani zobaczy nasze gospodarstwo – proponuje Krzysztof.

Podjeżdżamy do nasypu

...gdzie kolej pójdzie dołem, poniżej poziomu pól. Olbrzymia koparka pracuje przy wykopie. Kilka spychaczy zgarnia wydobytą przez nią ziemię. Tu pracują ludzie z brygady Krzysztofa.

– To jedna z najpotężniejszych koparek. Spychacze też świetne. Godzina pracy takiej maszyny kosztuje 800–1000 złotych! Ale na takiej budowie to się opłaca.

Jedziemy dalej, na przepusty. Po drodze dołącza do nas Wojtek, szkolny kolega Krzysztofa. Dojeżdżamy do miejsca budowy jednego z większych przepustów – niewielkich tuneli pod nasypem, będących ujściem dla wody. Wojtek pokazuje odległy o kilkaset metrów mniejszy przepust.

Historia na budowie

Kończymy objazd odcinka pod Hutą Zawadzką. Krzysztof pokazuje jeszcze powstające wiadukty, po drodze opowiada o ciekawostkach tych okolic. Pokazuje mi olbrzymi głaz narzutowy.

– To największy w Polsce – mówi. – Tu w ogóle jest sporo interesujących rzeczy. Na przykład, nasza budowa znajduje się teraz na terenie dawnego majątku hrabiego Górskiego. Niedaleko stąd jest jego dawny pałacyk. A koło nasypu były oficyny, które musieliśmy zburzyć. W tych okolicach było więcej majątków, we wsi nawet mieszka jeszcze dwóch dawnych dziedziców. Ale i chłopskie chaty są interesujące. Niedaleko stąd jest dom łączony na tzw. jaskółkę, bez jednego gwoździa. A kiedy rozbieraliśmy parę chałup, to były w nich wspaniałe, lepione z gliny stare piece.

Opowiadając, Krzysztof zapala się. Przeszłość ziem, przez które wędruje z budową jest też jego pasją. „Ot, lubię wiedzieć, gdzie jestem..."

Wracamy do świetlicy w baraczku.

– To prowizorka – mówi Krzysztof. – Jesteśmy polskimi koczownikami. Zanim się urządzimy, zagospodarujemy, trzeba ruszać dalej, bo ten odcinek budowy skończony. Zostawiamy więc wszystko, aby zacząć od nowa, przewędrowawszy kilkanaście czy kilkadziesiąt kilometrów.

Zostają rodziny, u których mieszkali na kwaterach. Ludzie, z którymi się zżyli, zaprzyjaźnili. Zostaje ich praca, a oni ze swoim taborem ruszają dalej, choć duszę mają nie cygańską.

Odjeżdżam. Ludzie i maszyny w Hucie Zawadzkiej pracują. Krzysztof wydaje jakieś polecenia. Przypomina mi się jego pierwsze pytanie: – Dlaczego właśnie ze mną będzie pani rozmawiać?

JAGA SUŁOCKA

Zdjęcie **CAF**

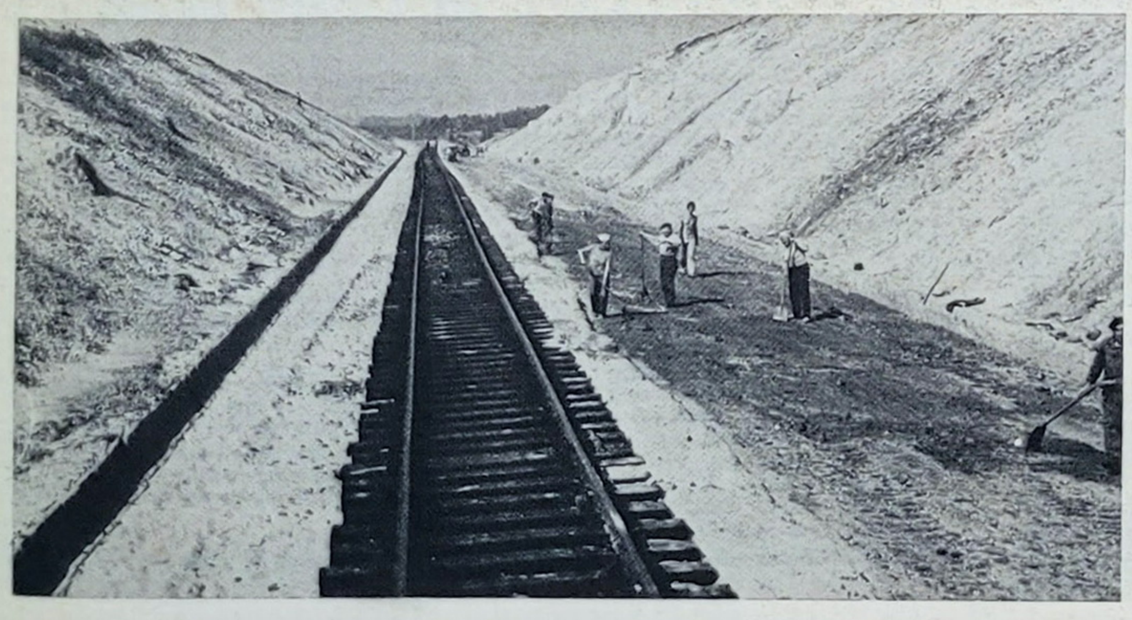

BAZAR

RAJ MAJSTERKOWICZÓW

Gdzie? Oczywiście w sklepach Centralnej Składnicy Harcerskiej na terenie całego kraju. Z bogatego asortymentu artykułów politechnicznych wybraliśmy dla Was kilka ciekawych propozycji. Wszystkie te wyroby są importowane ze Związku Radzieckiego i przedstawiają wysoką jakość, estetyczny wygląd i co nie jest bez znaczenia – trwałość i łatwość obsługi.

AMATOROM RADIOTECHNIKI...

...polecamy „klockowy" (modułowy) zestaw elektroniczny, z którego można ułożyć błyskawicznie kilkanaście typów, prostych jednozakresowych radioodbiorników. Z „klocków" tych można również układać – oczywiście wg załączonych w opisie schematów – wzmacniacze służące np. do nauki alfabetu Morse'a, a także automatyczny budzik, czy strażaka. Urządzenie zasilane jest baterią 4,5-woltową.

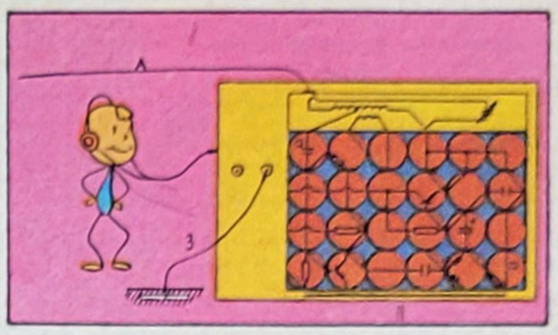

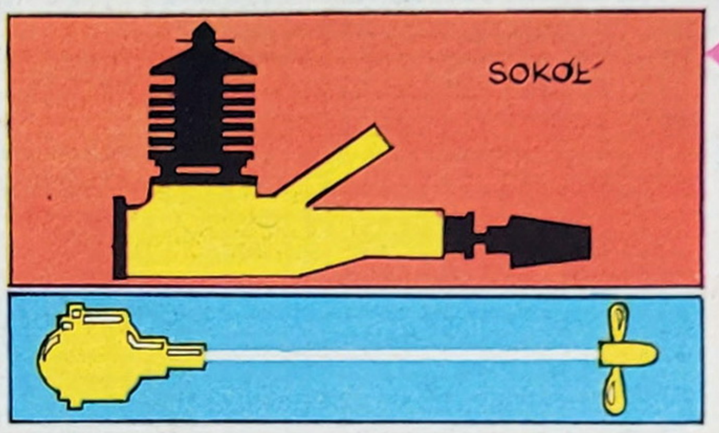

MODELARZOM LOTNICZYM I SZKUTNICZYM...

...oferujemy mikrosilnik spalinowy „Sokół" o pojemności 2,5 cm³. Osiąga on 14 tys. obrotów na minutę. „Sokół" może być również wykorzystany do napędu różnych pojazdów naziemnych. Natomiast dla szkutników posiadamy niezawodne silniki elektryczne (na baterie 2–4 volt), które można instalować w różnych modelach łodzi.

MIŁOŚNIKÓW ASTRONAUTYKI...

...zachęcamy do kupienia „Łunochoda". Jest on wierną kopią automatycznego laboratorium samojeżdżącego, które zostało wysłane przed pięcioma laty na Srebrny Glob i przez kilka miesięcy przemierzało księżycowe bezdroża. Obsługa bardzo prosta, napęd bateryjny. Mimo niewielkich rozmiarów „Łunochod" świetnie sobie radzi z forsowaniem różnych przeszkód – „gór", „rowów"...

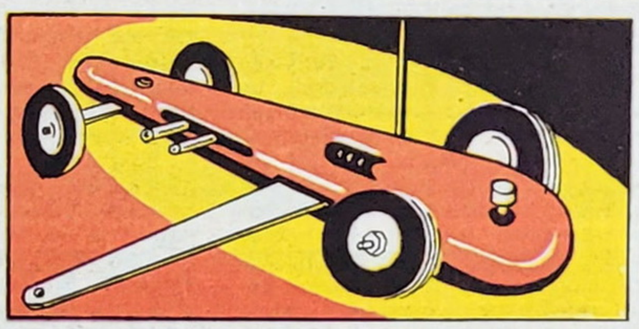

AMATOROM SZYBKOŚCI...

...polecamy do zmontowania z gotowych części metalowych samochód wyścigowy. Napęd na tylne koła silnikiem spalinowym „Temp-1" o pojemności 2,5 cm³. Sposób montażu, obsługi a także receptę przyrządzania paliwa podano w opisie.

DLA WSZYSTKICH...

...majsterkowiczów mamy obrabiarkę uniwersalną (na zdjęciu), na której można wytwarzać samemu przeróżne cudeńka. W zestawie części roboczych są bowiem noże tokarskie, piłka tarczowa, kamienie szlifierskie, nakładki polerownicze itp. Na obrabiarce uniwersalnej można toczyć, wiercić, ciąć, szlifować, a więc wykonywać te operacje, które są niezbędne przy produkcji lub dorabianiu jakiegoś elementu. Szczegóły wykorzystania obrabiarki oraz jej obsługi znajdziecie w dołączonym do niej opisie technicznym.

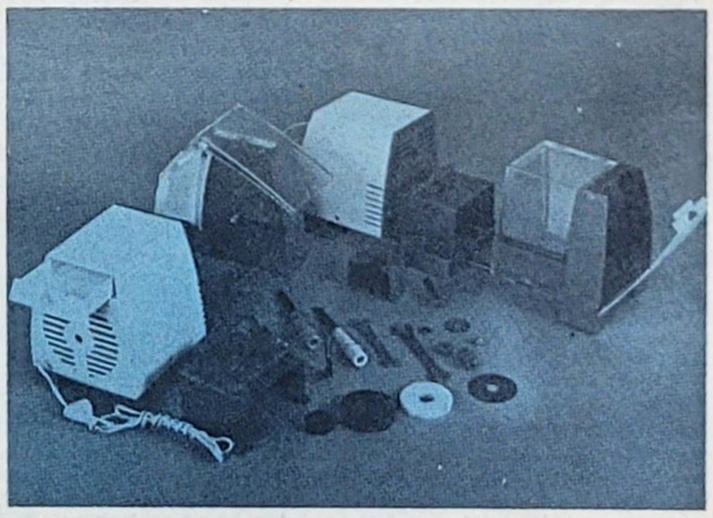

W klasówce z jęz. polskiego napisałam zdanie: „Obydwa rozdziały zawierają bogate opisy przyrody". Profesorka słowo „obydwa" poprawiła na „oba". Czy słusznie? Ja spotkałam się i z formą pierwszą, i z drugą. Która jest poprawna?

Anucha z Poznania

Obie są poprawne i mogą być używane wymiennie w tych samych sytuacjach, to znaczy z rzeczownikami męskimi (nieosobowymi) i nijakimi. Tak więc mówimy: oba rozdziały, oba jabłka — obydwa rozdziały, obydwa jabłka, ale obaj panowie lub obydwaj panowie. Pani profesor mogła się bardziej podobać forma krótsza, jednak nie było podstaw do uznania Twojego wyboru za błąd.

Wczoraj na lekcji powstał problem, czy powinno się mówić „kształt miecza" czy też „mieczu". Kochana Kropeczko, wyjaśnij moje wątpliwości.

I.A. z Łodzi

Kształt **miecza**, bo taki jest dopełniacz liczby poj. tego rzeczownika. W tym samym przypadku, ale l. mnogiej, mamy natomiast do wyboru aż 2 końcówki: -czy i -czów. (W muzeum widziałem wiele **mieczy** lub **mieczów**).

Z prowadzonej przez Ciebie rubryki czerpię wiele pożytecznych wiadomości. Ostatnio zastanawiam się jak to jest z kłódką. Czy wymienia się ona na kłodę czy też się nie wymienia (jest wyjątkiem)?

Darek z Lublina

Wyraz kłódka piszemy przez ó, ponieważ pochodzi on od wyrazu kłoda, jest to więc ó wymienne z o. **Aleksander Brückner** w „Słowniku etymologicznym" pisze: **kłoda** — kloc drzewa bez gałęzi od ziemi, wydrążony lub łupany na dwoje, w takiej kłodzie czyniono otwory, a w nich przymykano jeńców czy przestępców, „wsadzano do kłody", dla podobnego zamykania nazywano i kłódkę żelazną u drzwi lub skrzyni, złożoną ze dwu części a kluczem otwieraną. Z kolei **Witold Doroszewski** w sposób już mniej zawiły podaje jedno ze znaczeń wyrazu kłoda: zamek drewniany w rodzaju zasuwy lub skobla, zamek wiszący, kłódka. A oto cytat, jaki na dowód tego przytacza:

Jak do piwnic pootwierał kłody,
stały w beczkach popleśniałe miody.

Myślę, że teraz nie masz już wątpliwości, że kłódka powstała jako zdrobnienie od kłody.

Poradź mi, jak się powinno mówić: stewardessa czy stiuardessa?

Elżbieta z woj. szczecińskiego

Pisze się ten wyraz angielskiego pochodzenia przez jedno **s** (*stewardesa*), a wymawia stiuardesa. Za to *western* można wymawiać z angielska (łestern) lub zgodnie z pisownią.

Wasza mgr KROPECZKA

EKRAN SM

JUNGA Z FLOTY PÓŁNOCNEJ

Przyszli bohaterowie wojennych batalii nie przestają być po prostu dziećmi.

WYBIERAJĄC się na ten film wiedziałam tylko, że jego temat wiąże się z II wojną światową. Sądziłam więc, że zobaczę jeszcze jeden zręcznie nakręcony, pełen batalii wojenny film, jakich wiele wyprodukowano w Związku Radzieckim. Moje przekonanie potwierdzało jeszcze nazwisko reżysera filmu — Władimira Rogowoja, którego znałam już z utworów wyświetlanych na polskich ekranach: „Niezdolny do służby liniowej" i „Oficerowie". Reżyser ten poświęcił problematyce wojennej całą swoją twórczość. Może dlatego, że jak sam stwierdza, jego osobowość formowała służba w armii i walcząc przeszedł przez całą Wojnę Ojczyźnianą.

Tymczasem okazało się, że choć motyw filmu, którym są przeżycia i losy osieroconych przez wojnę dzieci walczących z najeźdźcą, jest ogólnie znany i wiele razy wykorzystywany na ekranie — udało się autorom filmu natrafić na kartę wojennych dziejów, dotąd nie pokazywaną i szansę jaką ten fakt stwarzał umieli wykorzystać.

Powstał film, którego nie można by nazwać rekonstrukcją, choć sceneria, w jakiej rozgrywa się akcja, jest autentyczna, a cały scenariusz osnuty na podstawie dokumentów i wspomnień zebranych przez Wadima Trunina i Eduarda Topola — dwóch młodych scenarzystów.

Ciężkie, a często nawet tragiczne przejścia sprawiły, że dzieci w tamtych czasach były dojrzalsze niż ich dzisiejsi rówieśnicy. Cóż dopiero nastolatki — ci musieli spełniać zadania, przed którymi lęk czują i dorośli. Osieroceni, pozbawieni opieki, przepełnieni nienawiścią do okupanta kilkunastoletni chłopcy rwali się do walki i masowo usiłowali przedostawać się na front. Nie myśleli o swoim nieprzygotowaniu, o tym, że do walki nie wystarczy chęć zemsty i zapał, że potrzebna jest też wiedza. Ginęły więc tysiące dzieci. Ta spontaniczna ofiara była daremna, wyłapywano więc je i często wbrew woli lokowano w domach dziecka i naprędce organizowanych różnego typu wojennych szkołach.

Jedną z nich była szkoła jungów marynarki wojennej, utworzona w 1942 roku na Wyspach Sołowieckich. Jej wychowankowie po przeszkoleniu zostawali marynarzami Floty Północnej i szli walczyć. Wołodia Czeramin — junga z tytułu filmu — nie jest jedyną główną postacią. Jest ich czterech, każdy dostał się do szkoły przypadkiem, każdy ma już za sobą wojenny koszmar. Głównymi postaciami są też dwaj wychowawcy, którzy czują się moralnie za uczniów odpowiedzialni i nie opuszczają ich do końca. Po przeszkoleniu z nauczycieli zmieniają się w kolegów i stają ze swymi wychowankami w jednym szeregu.

Po raz pierwszy chyba, miałam okazję oglądać film wojenny, w którym nacisk nie został położony na samą walkę, ale na pozornie mniej „filmowe", choć równie ważne sprawy: przygotowanie do niej i rozterki moralne, które muszą przeżywać dorośli wysyłający te dzieci pod kule i nakazujący im strzelać, zamiast pozwolić bawić się i uczyć.

Utkwiła mi w pamięci scena: chłopcy wyznaczeni są do podlewania dużego pola. Wodę trzeba nosić wiadrami aż zza odległego wzgórza. Praca ciężka i jałowa. Nasi bohaterowie, zawsze pełni fantazji, umilają ją sobie zabawą. Klękają, modlą się o deszcz... i zaczyna się ulewa. Okrzyki radości, śpiewy, taniec w strugach deszczu. To po prostu rozbawione dzieci. Kilka scen później nie wahają się w czasie ćwiczeń skakać w płomienie. Potem, już w pierwszej akcji bojowej, zdobywają na nieprzyjacielu kuter torpedowy, przeżywają śmierć swego dowódcy.

I taki jest cały film. Dzieciństwo, a właściwie dziecinne odruchy w czasie twardej walki, mimo ciągłego zagrożenia, tragicznych przeżyć. Na tym właśnie polega nowatorski aspekt ukazywania wojennych przeżyć w tym filmie.

„Junga z Floty Północnej" jest filmem kolorowym, szerokoekranowym. Oglądałam go z dużym zainteresowaniem. Zasługuje na obejrzenie, tym bardziej że wszystkim, którzy interesują się historią II wojny światowej dostarcza nowych, mało znanych wiadomości o walkach Floty Północnej na Morzu Białym. (EB)

NA PODLASIU KUKUŁKI KUKAJĄ

DALSZY CIĄG ZE STR. 1

Sława zespołów artystycznych „Podlaskich kukułek" z Zespołu Szkół Rolniczych w Bielsku-Podlaskim i „Małego Podlasia" ze Szkoły Podstawowej w Boćkach prowadzonych przez druha Mikołaja Turkowicza, dawno przekroczyła granice najbliższej okolicy.

„Podlaskie kukułki" powstały 3 lata temu. Początkowo był to niewielki zespół wokalny, który dzisiaj liczy kilkadziesiąt osób. „Małe Podlasie" istnieje dopiero od roku.

Boćki to rozśpiewana wieś niedaleko Bielska-Podlaskiego. Rozśpiewana, bo mieszkają tam rodziny, wśród których tradycją stało się codzienne wieczorne muzykowanie i śpiewanie. „W tej wsi ludzie przychodzą na świat z rozśpiewaną duszą" — mówią o nich mieszkańcy sąsiednich wiosek. Nic więc dziwnego, że kiedy druh Mikołaj Turkowicz, który zresztą sam z Bociek pochodzi, założył we wsi zespół „Małe Podlasie", chętnych było co niemiara. Podczas eliminacji zdarzały się zabawne historie. Przychodziły na nie mamy, które kiedyś same należały do podobnego zespołu i prosiły: „Mój syn ma naprawdę dobry słuch, a głos mu się z czasem wyrobi. Proszę go przyjąć do zespołu". A kiedy czerwony jak burak syn mamrotał „baranim głosem" jakąś swoją ulubioną piosenkę, stwierdzały: — „On wobec tego będzie znakomicie grał na jakimś instrumencie".

Kiedy występuje się w regionalnym zespole, chciałoby się, aby jego repertuar był jak najbardziej prawdziwy i zgodny z folklorem. Nic więc dziwnego, że harcerskie „kukułki" skrzętnie szukają dawnych obyczajów, starych przyśpiewek i tańców. Pomagają im w tym rodzice, z których wielu tak jak mama Ewy Osmólskiej, Beaty Łukaszewicz czy Agaty i Heńka Chibowskich należały do podobnych zespołów. Starzy ludzie — wszystkie babcie i dziadkowie w okolicznych wsiach — doskonale znają zainteresowania „Podlasian". Często się zdarza, że zapraszają harcerzy. Nic więc dziwnego, że śpiewnik zespołu pęcznieje z dnia na dzień. Nie tylko zresztą śpiewnik. W Zespole Szkół Rolniczych w Bielsku-Podlaskim i w Szkole Podstawowej w Boćkach powstały małe muzea regionalne. „Podlasianie" gromadzą w nich ciekawe regionalne sprzęty, przedmioty użytkowe i stroje. Każdy chciałby znaleźć jakąś najstarszą „staroć".

ELŻBIETA JEDLIŃSKA

Zdjęcie: K. Adamowski

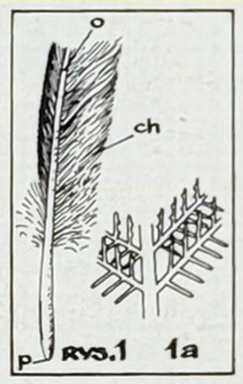

RYS. 1 1a

Pióro składa się z osi (o) i chorągiewki (ch). Dolna część osi nosi nazwę dutki (d) i zakończona jest pępkiem (p).

1a. Powiększony fragment pióra. Widoczne promienie i promyki z haczykami.

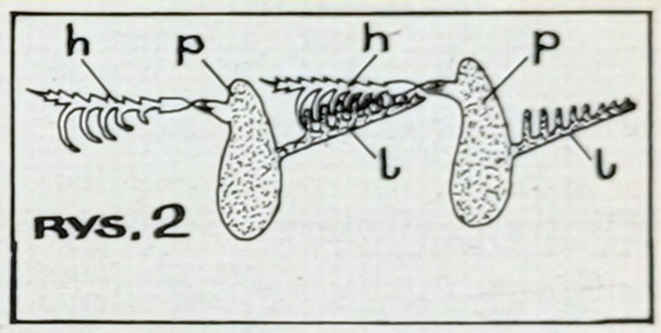

RYS. 2

Przekrój przez promienie (p) z haczykami (h) zazębiającymi się z listewkami (l) sąsiednich promieni.

HALO, TU KLUB PTAKOLUBÓW

Badamy ptasie pióra

Czy wiecie, że pióra ptaków to odpowiedniki łusek gadzich? Tworzy je podobna substancja rogowa. Listopad to miesiąc, w którym możecie się dobrze przyjrzeć piórom. W tym bowiem czasie wiele kaczek i gęsi rozstaje się z życiem. Także na miejskie bazary trafiają te ptaki często w pełnym upierzeniu. Oglądając taki okaz, stwierdzicie, że pióra nie są rozmieszczone równomiernie na skórze. Pól nieopierzonych normalnie nie widać. Maskują je pióra wyrastające z pasów upierzonych, ukośnie w stosunku do powierzchni ciała.

A jak wygląda samo pióro? Weźmy dla przykładu lotkę — długie, sztywne pióro wyrwane ze skrzydła. Składa się ono z nieprzezroczystej białej osi, u dołu rozszerzonej. Ta dolna, tkwiąca w skórze część tworzy dutkę. We wnętrzu dutki wypełnionej powietrzem dostrzeżecie jej „duszę" — luźną substancję rogową. Dolna część dutki ma wgłębienie zwane pępkiem.

Od osi pióra odchodzi chorągiewka. Możecie ją rozdzielić na poszczególne promienie (jakby nitki). Na każdym promieniu rozmieszczone są w dwóch rzędach promyki. Widać je pod lupą lub mikroskopem. Chorągiewka lotki „trzyma się kupy" dzięki haczykom (patrz rysunek), które zazębiają się z listewkami na sąsiednich promykach. Jeśli chorągiewka się rozerwie (promienie oderwą się od siebie) można ją „naprawić" głaszcząc od nasady w kierunku wierzchołka pióra.

Podobne do lotek są sterówki w ogonie. Policzcie, ile sterówek ma wasz ptak?

Na szyi, grzbiecie, brzuchu, piersiach ptaka zobaczycie pióra pokrywowe ułożone dachówkowato. Ich chorągiewki są słabsze od chorągiewek lotek czy sterówek. A czym jeszcze różnią się one od tych silnych piór?

Przestrzenie pomiędzy piórami pokrywowymi wypełnia puch. Pióra te nie tworzą chorągiewek, ich promienie są wiotkie, miękkie, nitkowate. Pod powiększeniem widać, że składają się one z jakby trójkątnych pudełeczek wypełnionych powietrzem. Podczas lotu pióra pokrywowe elektryzują się dodatnio, zaś puch — ujemnie. Warto dodać, że ptaki systematycznie namaszczają pióra wydzieliną gruczołu tłuszczowego.

A teraz zadanie dla wszystkich Ptakolubów: — **czy potraficie na podstawie powyższych wiadomości oraz własnych obserwacji odpowiedzieć, dlaczego ptak nie przemaka na deszczu?** Czekamy na listy!

(maw)

REPORTER Świata Młodych

Jestem wielkim szczęściarzem

Jakże często nie zważamy na otaczające nas piękno. Przechodzimy obojętnie, nie zachwycając się zbytnio przyrodą, tym, że świeci słońce czy kwitną i owocują drzewa. Człowiek współczesny nie ma na to wiele czasu. Kiedy jednak chcę, mogę to dostrzec. Jestem wielkim szczęściarzem.

W Owińskach wznosi się „Państwowy Zakład dla Dzieci Niewidomych". Przebywają tu dzieci skrzywdzone przez los, którym matka-natura odebrała dar widzenia. Społeczeństwo tego zakładu żyje, bawi się i uczy. Niektórzy z nich trochę widzą, ale są i tacy, którzy już nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Ich życie nie jest wesołe, choć grono pracowników tego zakładu robi wszystko, aby im je uprzyjemnić, aby przygotować niewidome dzieci do przyszłego samodzielnego życia.

Można powiedzieć, że jest to prawdziwy konkurs na życie. Dzieci te mimo swego kalectwa działają społecznie. Niektóre z nich należą do ZHP. Raz po raz organizowane są tu spotkania z ludźmi zasługującymi na miano ciekawych. Słowem w zakładzie robi się wiele, aby choć trochę wynagrodzić krzywdę wyrządzoną przez naturę.

Za oknami zakładu zaczęło szarzeć, wkrótce nastąpiły całkowite ciemności. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, co znaczy tkwić w ciemności przez całe życie. I przypomniałem sobie, że będąc w zakładzie przez dwie godziny nie usłyszałem ani razu słowa skargi. Choć każde z dzieci tak bardzo chciałoby widzieć...

GRZEGORZ WIEŃĆ

Zdrowsze życie?

Słuchając dyskusji, jakie w naszej klasie się toczą, można wywnioskować, że życie dla nas będzie zdrowsze, dłuższe itp., jeżeli nasze marzenia zostaną urzeczywistnione. Jedna koleżanka mówi: „Zostanę lekarzem i będę pracować w laboratorium tak długo, aż uda mi się wynaleźć skuteczny środek przeciw rakowi..." Oby tak się stało! Inna chce również zostać lekarzem, ale będzie się zajmować czym innym. Twierdzi, że być może uda się jej wynaleźć leki, które będą przywracały całkowity wzrok niewidomemu, a głuchemu słuch.

Jeden z chłopców mówi: „Gdy tylko dorosnę, zostanę inżynierem...". Inny, któremu nie bardzo się wiedzie w nauce: „Ja chcę zostać murarzem, będę stawiał piękne domy, jakich nikt dotąd nie budował". Marzenia są różne. Najważniejsze jest jednak, że wszystkie są twórcze. Może nie każde będzie się mogło spełnić, ale wszystko wskazuje na to, że będziemy żyć o wiele lepiej i zdrowiej. Bo od szczerych chęci zależy wiele...

MAREK STRANC

REDAGUJE: WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

„Świat się zmienia... i my także!" powiedział wczoraj ob. Leon K. obejrzawszy ostatni numer „Świata Młodych". Nie ulega wątpliwości, że „Świat" zmienia się na lepsze! A my?..

„Opa-mini-75" to nowoczesny system alarmowy dla każdego! Jest to niewielkie pudełeczko zaopatrzone w ekranik, na którym za naciśnięciem guziczka ukazuje się estetyczne oko opatrzności (kolor).

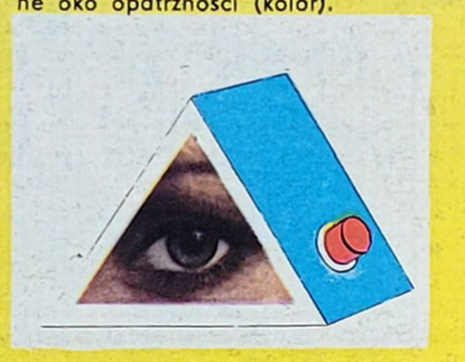

Dopóki użytkownik aparatu stosuje się do wszelkich przepisów bezpieczeństwa — oko trwa w bezruchu. W momentach lekkomyślności użytkownika, gdy w jego umyśle powstają ryzykowne pomysły — oko zaczyna gwałtownie mrugać, pojawia się w nim także wyraz przerażenia. Wizji tej towarzyszy również fonia w postaci sygnału przypominającego ryk osła. Dobre, co?...

To n i e jest śmieszne!

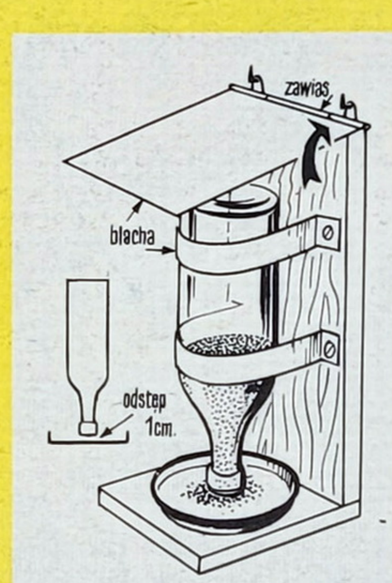

UWAGA! ALERT OPIEKI

Zastęp „Niebieskich ptaszków" ze Szczecina prosi mnie o opublikowanie wypróbowanego karmnika dla ptaków.

W odwróconej butelce znajduje się zapas ziarna lub kaszy, która samoczynnie wysypuje się po trochu na miseczkę w miarę zjadania przez ptaki. Uwaga, zastępy! Zajmijcie się jak najszybciej akcją opieki nad ptakami! Zima za pasem!

Do zobaczenia! **Wasz RZEP**

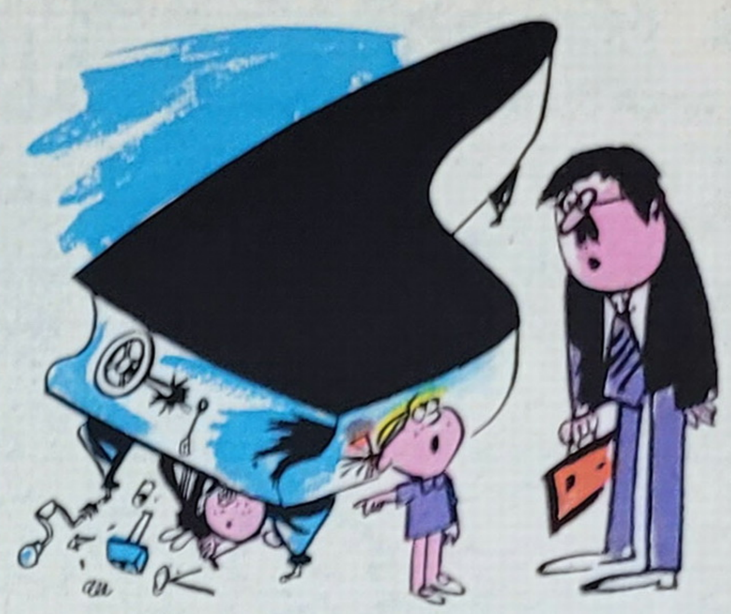

— Gdzie Kajtek?!
— Jest tam! Dorabia pedał gazu...

Rys. W. LEWIŃSKI

Oto reklama z czasów, gdy nasza babcia miała piętnaście lat. Nie myślcie, że to było tak dawno jak się wam wydaje.

OSTATNIA ZDOBYCZ TECHNIKI RADJOWEJ!— PRZEBÓJ 1929 R. OTO, CO ZACHWYT WZBUDZI I ZAINTERESUJE CAŁY ŚWIAT.

„RADJO PICCOLO SPORT"

W. R. W.

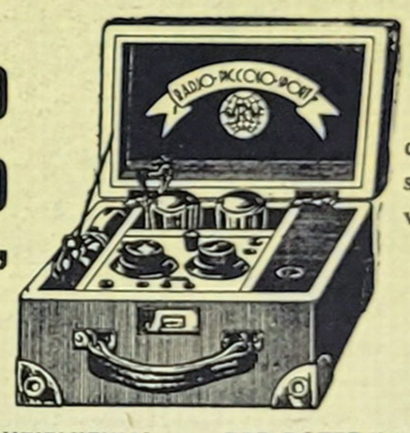

WIELKOŚĆ:
długość 25 cm.
szerokość 19 cm.
wysokość 12 cm.

WAGA:
2 kg. 750 gr.

BEZ ANTENY I UZIEMIENIA! BEZ BATERJI I AKUMULATORA!

Jedynie wymiana bateryjek (jak w latarce kieszonkowej).
Odbiór stacyj w promieniu 200 klm. Odbiór szeregu stacyj europejskich po dołączeniu 15 (piętnastu) mtr. drutu.
Całość taka, jak powyżej widziciel
Niebywała selektywność, niesłychana czystość odbioru, bez trzasków i szmerów.
Jedziesz pociągiem, tramwajem, samochodem, motocyklem, rowerem, jesteś na wycieczce, czy podczas pracy, możesz słuchać wszędzie audycyj i koncertów radjow.
Cena wyżej wskazanego aparatu (w pełnym komplecie) z jedną parą słuchawek zł. 245.—
Koszt eksploatacji do 3-ech złotych miesięcznie (innych wydatków niema).

ty i ziola, idą za śladem wydeptanym lekkimi stopami ich towarzyszki, znajdują rozsypane kwiaty. Nic więcej. Tylko te maki szybko więdnące pod obojętnym żarem słońca.

Gdy Demeter kamieniejąc słucha straszliwej nowiny, w podziemiach, za rozlanymi wodami Styksu i Lety, pochmurny Hades błaga porwaną Korę, by zechciała wysłuchać jego słów.

— Już od dawna kocham cię, córko Demeter. Zastępowałem ci drogę jako młody pasterz i jako urodziwy oracz, ścinałem dla ciebie grona jako winogradnik i podlewałem róże pod twoim domem jako ogrodnik, a ty nie spojrzałaś na mnie ani razu. Rozkazałem nocnym słowikom śpiewać nad twoim snem, uprosiłem bladą Selenę, by otoczyła cię miesięcznym blaskiem. Gdybyś wejrzała na mnie łaskawie, Koro, nie porwałbym cię z grona towarzyszek, sama byś zstąpiła do mego królestwa.

— Nie pragnę ani ciebie, ani twojego kochania. Nie zostanę z tobą. Nie chcę.

— Wyczarowałem z ziemi te maki, Koro, wiedziałem, że pobiegniesz je zerwać. Widzisz, ile o tobie wiem? Bo śledzę cię od dawna, dlatego, że cię pokochałem.

— Nie zostanę z tobą. Nigdy cię nie pokocham.

Pan podziemi, Hades, był mrocznej urody, podobnej królestwu zmarłych — otulonemu wieczną mgłą, wilgotnemu od wód spływających w mrok głębokich jaskiń, drżącemu nietoperzowym skwirem, rozkwitającemu białymi asfodelami na ciemnych łąkach. Panu podziemnej krainy nie przystoi słoneczna uroda.

Ale posępny Hades był bogiem potężnym i mądrym. Dlatego, zaniechawszy słodkich słów, prosił Korę, żeby porzuciła obawy i przyjęła pokarm i napój. A gdy się już pokrzepi, czarne konie wyniosą ją z powrotem na blask słońca.

Ale i Kora była boginią, córką wielkiej Demeter, mimo swej młodości i niedoświadczenia wiedziała, że ktokolwiek przyjąłby jadło i napój umarłych, musiałby pozostać na zawsze podziemnej krainie.

— Nie przełknę ani kęsa, nie wypiję ani kropli, nim nie stanę w pełnym blasku słońca.

A tymczasem na ziemi wielka bogini Demeter zakazała zbożu wydawać ziarno, strąciła owoce z gałęzi szarych oliwek zabroniła kwitnąć sadom.

— Dopóki nie znajdzie się Kora, cała ziemia pozostanie bezpłodna.

— Droga siostro, rozumiemy twój ból, lecz chyba zbyt srogo mścisz się na ziemi i ludziach za zniknięcie Kory. — Na wysokim szczycie bogowie na próżno wyglądali ofiarnych dymów i dlatego wezwali przed swoje oblicze wielką Demeter. — Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ci pomóc, ale prosimy, byś uśmierzyła swój gniew.

— Nie — odpowiedziała czcigodna Demeter, nawet nie zauważyła, że Zrodzona z Piany Morskiej uśmiecha się patrząc na nią, a taki uśmiech musiał coś znaczyć. — Nie.

Gdy odeszła, Dzierżący Pioruny powiedział:

— Mów, Zrodzona z Piany Morskiej, co uczyniłaś z Korą!

— Ja! — najpiękniejsza z bogiń trochę się przeraziła gniewu Zeusa. — Nic takiego nie zrobiłam. Ta dziewczyna mnie rozzłościła swoją pewnością, że się nie zakocha. Mogłam rzecz jasna sprawić, by pokochała starego świniopasa albo jednookiego Polifema, ale mam dobre serce, wybrałam dla niej naszego kuzyna...

— Kogo?

— Twojego rodzonego brata, Zeusie. Nie powiesz chyba, że to nieodpowiedni wybór.

— I ona się zgodziła?

— Tego nie wiem. Wyślij Irydę, niech się dowie, jak sprawy stoją, chociaż jeśli o mnie chodzi, jestem zupełnie spokojna. Hades jest piękny, wymowny i potężny, jest bóstwem szanowanym i powszechnie czczonym licznymi ofiarami, a Kora jest w takim wieku, że się powinna zakochać.

— Bzdury, Kora się nie zakocha! Sam byłem świadkiem, jak przysięgała, że prędzej umrze, niż odda komuś serce. To była bardzo poważna przysięga na czarną Hekatę i styksowe wody. Leć, Irydo! No cóż, jestem prawie pewien, że będziemy musieli uwolnić tę biedaczkę. Więcej, jestem przekonany, że będziemy musieli tak zrobić.

— Od wielu dni Kora nie dotyka pokarmu i napoju, powróciła z wiadomością Iryda, ta, która zbiega na ziemię po łuku tęczy. — Nie chce słuchać wyznań Hadesa, milczy uparcie, odzywa się tylko po to, by żądać powrotu na ziemię.

— Rozkazuję, żeby ją niezwłocznie uwolniono.

Ponieważ wola Tego Który Dzierży Pioruny jest prawem, mroczny Hades rzekł do milczącej Kory:

— Mam dla ciebie radosną nowinę. Wrócisz na blask słońca.

C.d.n.

6

JONKA JONEK I KLEKS

WSPOMNIENIA Z WAKACJI

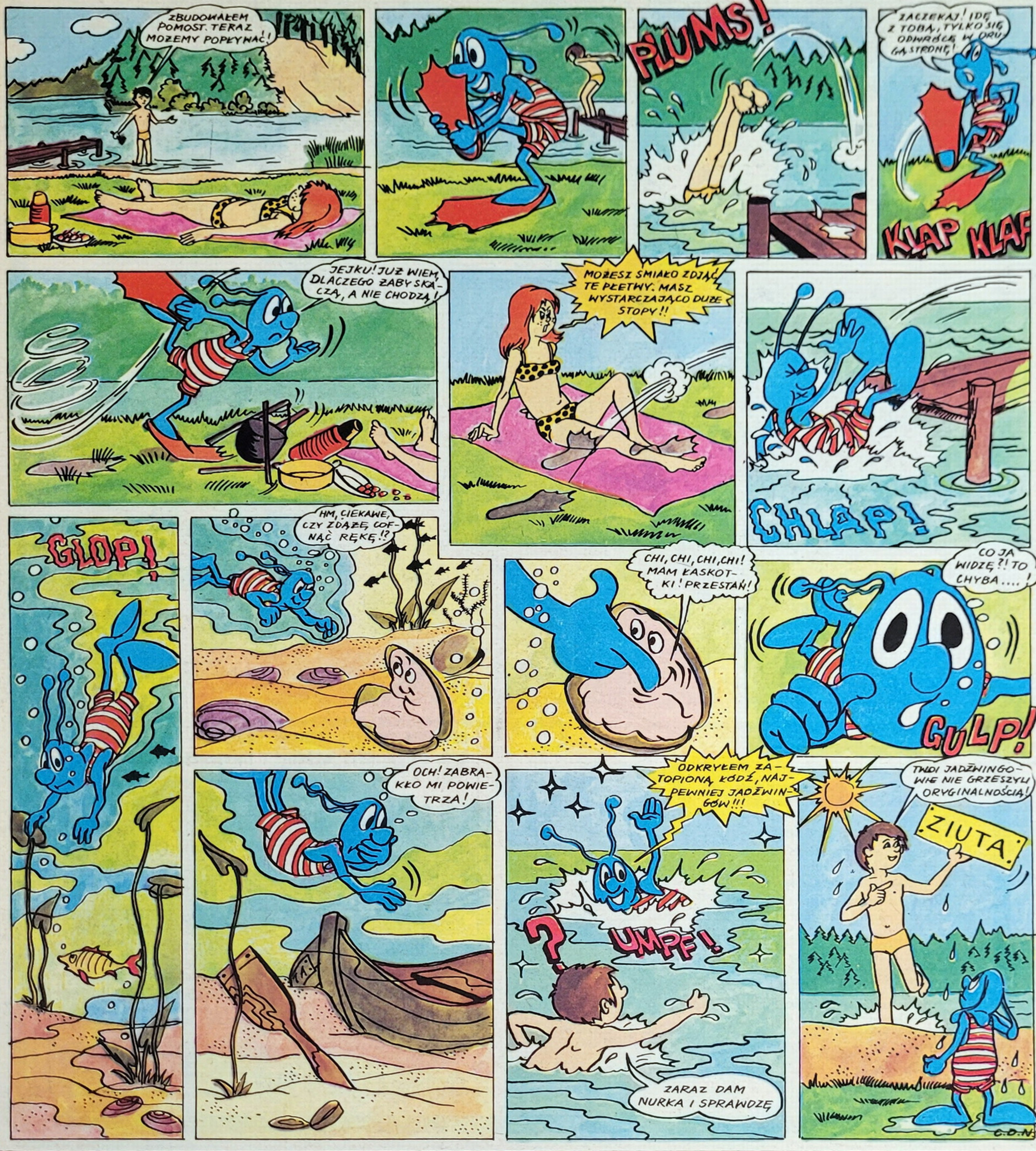

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—561 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-00-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-56-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 10 proc. droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa

Redaktor odpowiedzialny: Jerzy Dąbrowski

Opracowanie graficzne: Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna: Henryka Żochowska

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego". Warszawa.

Zam. 136/7153 B-87
Nr indeksu — 33039/35046.

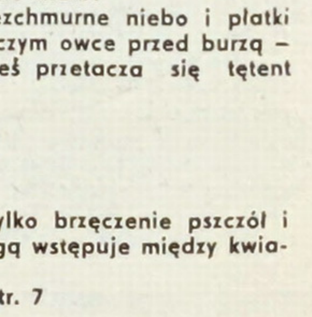

MOŻE NIE, MOŻE TAK

EWA NOWACKA

6

— Ty chyba nie masz oczu, dziewczyno! Jest tylu pięknych chłopców, Charmis, Dion, Myrtia; czy mam wyliczać ich wszystkich? Jeżeli musiałaś się zakochać, dlaczego wybrałaś brudnego owczarza piskającego na fujarce za stadem?

— Bóg o motylich skrzydłach, gdy zakładał strzałę na cięciwę, nie spytał mnie mnie o moją wolę.

Nad łąką ucichł wiatr, nagrzana słońcem ziemia i zioła pachniały sennie i mocno. Był czas południowego spoczynku, kiedy to pasterzy i oraczy morzy sen w cieniu drzew.

— Powiem mojej matce, że jesteś zakochana — szczupła dziewczyna o zdziwionych oczach wyciąga dłoń ku kępie srebrnej trawy, łamie wątłe źdźbła. — Moja matka na pewno cię nie pochwali, Basilio. Sądzę, że odeśle ciebie do ojca.

— Koro, nie mów twojej matce!

— Powiem.

— Zazdrościsz mi, Koro?

— Ja? — dziewczyna o zdziwionych oczach prostuje się, podnosi głowę. — Czego mam ci zazdrościć, Basilio?

— Hylas mnie kocha.

— Mnie nie obchodzi ani Hylas, ani nikt inny. Nie dbam o miłość, nie potrzebuję jej. I nie wierzę w te bajki o małym synu ciotki Cyprydy, strzelającym ze swego łuku, to wy zmyślacie takie opowieści. Ale to nieprawda, nieprawda, nieprawda!

Wykrzyczawszy owo zaprzeczenie dziewczyna ucisza się, spuszcza głowę ku więdnącemu snopowi kwiatów.

— Nie zakochasz się nigdy, Koro?

— Nie.

— Bacz, byś nie obraziła swojej krewnej. Zrodzona z Piany Morskiej, niechętnie słyszy takie słowa z ust dziewczyny.

— Ciotka Afrodyta wie doskonale, co ja myślę o miłości, sama jej powiedziałam, że nie mogę się zakochać. A matka twierdzi, że mam słuszność. Jest mnóstwo poważnych spraw, którymi trzeba się zająć. Zboża, oliwki, jarzyny.

— Czemu, Koro, mniemasz, że ominie cię miłość, która jest przeznaczona wszystkiemu, co żyje?

— Bo ja tak chcę.

Później dziewczyny ucichły i tylko Basilio zaszeptała błagalnie:

— Nie mów nic czcigodnej Demeter, Koro. Nie mogą wracać do ojca. Zrozum, nigdy bym już nie zobaczyła Hylasa.

Na ten szept córka Demeter, Kora o zdziwionych oczach, nie odpowiedziała nic. Wiatr zabrał prośbę Basilio, poniósł ją między pióropusze traw.

— Czas do domu.

Obciągając wymięte szmatki, dziewczęta podniosły się z miękkiego posłania, zbierały rozrzucone, omdlałe od południowego skwaru łodygi.

— Zostawcie te badyle, zupełnie zwiędły!

— Poczekajcie, ja nazbieram kwiatów. — Płosząc motyle Kora wbiega w trawy, szarpie do siebie sprężyste łodygi, układa nowy snop na zgiętym ramieniu. — Poczekajcie na mnie!

Już jest na środku łąki oblana ze wszystkich stron pachnącym, kwitnącym, szumiącym morzem.

— Koro, wracaj, narwałaś już dosyć.

— Zaraz, zaraz! — Nie widać jej zza wysokich kit trawy, lecz słychać jak woła: — Maki, jakie piękne maki!

Nagle na wesołą łąkę, motyle, bezchmurne niebo i płatki kwiatów spada cień. Dziewczyny — niczym owce przed burzą — zbijają się w trwożną gromadę, gdzieś przetacza się tętent rozpędzonych koni, cichnie.

— Co to było?

— Nie wiem.

— Ziemia zadrżała, czułam to.

— Wołajmy Korę.

Wołają i wołają, odpowiada im tylko brzęczenie pszczół i szelest trawy. Na końcu jedna za drugą wstępuje między kwia-

Ciąg dalszy na str. 7